

Kamena

LUBLIN 23 I 1977 Nr 2 (618)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

DWIE PIĘTY ACHILLESA

BUDOWNICTWO JEDNORODZINNE

Jerzy Dostatni

TO TYLKO ślimak z bajki twierdził, że lepszy domek własny — chociaż ciasny. Współczesny Polak budujący własny domek chce, aby był on obszerny, wyposażony we wszelkie wygody, otoczony dużym ogródkiem, z dojazdem o asfaltowej nawierzchni, możliwie blisko miejsca pracy, wody i lasu. Taki jest najkrótszy rejestr życzeń — a jakie możliwości?

Program budownictwa jednorodzinnego (licząc w tym domki bliźniacze i szeregowe) dla województwa lubelskiego przewiduje wybudowanie w bieżącej pięcioletniej 15 tys. mieszkań, co stanowi 60 proc. efektów, jakie da

budownictwo wielorodzinne (blokowe). Z tego 8300 mieszkań dla ludności trudniącej się rolnictwem, a 6200 dla ludności nierolniczej — chociaż 1900 z nich ma powstać na terenach wiejskich. A więc o 3800 mieszkań więcej niż w poprzedniej pięcioletce, głównie w miastach. Skok jest więc bardzo duży i dowodzi także, iż nieprzyjemna lub podejrzliwa aura, jaka przez lata otaczała ten rodzaj budownictwa, należy już do przeszłości.

Mieszkania budowane indywidualnie są prawie bez wyjątku większe niż w blokach — w miastach przeciętnie

Dokończenie na str. 4—5



Prawie wszystko o „Budce Suflera”

Mówi Romuald Lipko

str. 6—7

PRZEMYT I WYROK

Sąd Wojewódzki w Opolu wydał wyrok w procesie 15-osobowej grupy, oskarżonej o przemyt i fałszerstwo dewizowe, dokonane na kwotę 5,8 mln złotych. Główny oskarżony, Kazimierz Wojnowski, został skazany na 10 lat pozbawienia wolności i grzywnę w wysokości 500 tys. zł. Zajmujący się w tej grupie przemytem obywatel RFN, Werner Blasig, skazany został na 8 lat pozbawienia wolności, grzywnę 700 tys. zł oraz częściową konfiskatę mienia. Pozostali oskarżeni otrzymali kary od 2 do 8 lat pozbawienia wolności i grzywny.

Sprawozdanie z procesu zamieszczamy na str. 12.

KONTRASTY



Fot. M. Staniewicz

DER SPIEGEL

W POSZUKIWANIU KORZENI

Czarny Amerykanin Alex Haley, natrafił w Afryce na ślady swych przodków. Wydana przez niego książka pt. „Roots” („Korzenie”) staje się w USA bestsellerem. Oto co pisze na ten temat tygodnik „DER SPIEGEL”.

CYNTIA Murray Palmer opowiadała swemu czarnemu wnukowi, Alexowi Haleyowi, tę historię tyle razy, że w rezultacie znalazł ją już na pamięć. Pierwszy człowiek, o którym wspomina się w jego rodzinie, był Afrykańczykiem, jego biały pan nazywał go — Toby, ale Afrykańczyk twierdził, że nazywa się Kin-tay.

Człowiek ten ożenił się z czarną kucharką Bell, pracującą u tego samego pana. Mieli córkę imieniem Kizzy. Afrykańczyk opowiadał córce jak go uprowadzono: został złapany, gdy oddalił się ze swej wsi szukając drzewa, z którego chciał zrobić sobie bęben. Kizzy przekazała tę historię swoim dzieciom, dzieci przekazały ją wnukom itd.

W roku 1966 liczący wówczas 45 lat, Alex Haley siedział w zachodnioafrykańskim buszu w Gambii

Dokończenie na str. 2

Magister czy aktor?

Mirosław Derecki

Kiedy odłoni się kurtyna, pojawiają się na scenie umalowani i przebrani, w sztucznej dekoracji i rażącym blasku reflektorów, jakby postacie z innego wymiaru rzeczywistości. Bo i mówią cudzymi słowami, myślą obcymi myślami, wyrażają uczucia nie swoje własne, rozgrywają między sobą udane perypetie, wymyślone dla nich przez kogoś innego.

Tak pisze o aktorach, o ich życiu „scenicznym” krakowski krytyk teatralny, Tadeusz Kudliński, a tę literacką wizję warto jeszcze uzupełnić stwierdzeniem Jana Lorentowicza, że aktor... dla roli zdradzi przyjaciela, zdradzi osobę kochaną, wyprze się własnej rodziny, popętni zdolny rzecz niską. Jedyną ranę jego życia stanowi niesprawiedliwa, lekceważąca krytyka, najwyższą radość daje mu uznanie. Ale jak wyglądają zawodowe problemy aktorów na co dzień, gdy zapada kurtyna, gasną światła rampy a oni sami — z królów, waletów, dam dworu, przekształcają się w zwykłych obywateli specyficznej — jednak — społeczności?

Mamy w Polsce 52 teatry dramatyczne działające na 72 stałych scenach oraz 25 teatrów lalkowych. Akto-ry zatrudnieni w tych teatrach pracują także dorywczo w filmie, radiu i telewizji, występują na estradzie. (Nie mówiąc o aktorach muzycznych i ich teatrach oraz „zawodowych” estradowcach — bo to zagadnienie o dość odrębnej specyfice i dlatego wymagające osobnego artykułu). Mimo atrakcyjności zawodu, przy dzisiejszym zapotrzebowaniu — aktorów jest zbyt wielu, a szczególnie brak ich daje się odczuć w teatrach działających na prowincji, to znaczy poza Warszawą czy Krakowem. W materiale opublikowanym we wrześniowym numerze „Dialogu” z 1975 r. Jerzy Sokółowski zwrócił uwagę na fakt, że w latach 1970—74 mury trzech istniejących w Polsce szkół teatralnych: warszawskiej, krakowskiej i łódzkiej — opuściło... 263 absolwentów z tytułem aktora dramatu. To znaczy, przeciętnie zaledwie 53 aktorów rocznie! Z tej liczby — pisał — czynnie obecnie pracuje w teatrze 248 osób. Ale przecież w tym samym czasie zmarło, odeszło na emeryturę lub opuściło teatr 243 aktywnych aktorów. Ilość absolwentów, jaka rokrocznie opuszcza nasze szkoły teatralne, w żaden sposób nie zaspokaja więc potrzeb.

Sokolowski wspominał tylko o aktorach tzw. „żywego planu”, bo przecież, przed mniej więcej dziesięć laty, jedyny — istniejący przy krakowskiej PWST — wydział lalkarski został zlikwidowany i dopiero ostatnio odradza się jako filie: krakowskiej Szkoły Teatralnej — we Wrocławiu i warszawskiej — w Białymstoku.

Od kilku lat dyrekcje teatrów oraz Koła SPATiF w Lublinie, Rzeszowie, Kielcach, Bydgoszczy czy Białymstoku biją na alarm, że w zespolech coraz mniej młodych aktorów. Jedni się postarzelili, inni wyjechali do większych ośrodków, a świeżo upieczonych absolwentów w „terenie” prawie nie widać. Proszę pana — powiedział mi jeden z członków zarządu lubelskiego Koła SPATiF — sytuacja nie może być normalna, skoro każdego roku około 80 procent absolwentów szkół teatralnych pozostaje w Warszawie, Krakowie czy Łodzi, a reszta usiłuje za wszelką cenę zacząć się w miastach posiadających ośrodki telewizyjne czy wytwórnie filmowe. Na prowincję trafiają jednostki. A przecież właśnie tutaj najłatwiej o „duże” role, tutaj młody aktor ma największe możliwości doskonalenia warsztatu. Machulscy, Mikulski, Romanowie, Włodzimierz Wiszniewski, Teresa Mikolajczuk czy Wanda Wieszczycka to tylko niektóre „nazwiska”, które rozwinęły się i wypłynęły na szerokie wody właśnie w Lublinie...

Tymczasem od 4—5 lat obserwujemy, jak początkujący aktor trzyma się kurczowo choćby najniższego etatu w stolicy czy w Krakowie, w teatrze gra „ogony”, ale że w telewizji, na pod-rzędnych chaturach, zarobi trzy czy cztery razy tyle, ile wynosi jego pensja — więc jest zadowolony i usatysfakcjonowany. Tylko, czy przy takiej postawie życiowej warto było w ogóle zawracać sobie głowę „szczytnym powołaniem” i przez szereg lat przedierać się przez kolejne „sita” w szkole teatralnej? Przecież do aktorstwa nie idzie się tylko dla pieniędzy, ani dla rozrywki, przecież — mówiąc słowami Wyspiańskiego — aktorzy to...

...ludzie — których na to powołano, by biorąc na się maskę i udanie, mówili prawdy wiecznej przykazanie. Na co stać kogo, tajemnic tych sięga; wieczna w tym siła, groza i potęga.

w Lublinie różnych dróg do zrealizowania absolwentów pracą w tutaj-szym teatrze, proponowano nawet studentom szkół teatralnych specjalne stypendia, ale gdzie tam...!

A przecież młody aktor — oprócz wspomnianych już wartości natury artystycznej — ma zapewnione na prowincji zupełnie godziwe warunki materialne, pozwalające mu rozwijać i doskonalić warsztat zamiast uganiać się za dodatkowymi zarobkami dla latania dziur w budżecie domowym. Pierwsza gaża kształtuje się w granicach 3 tysięcy złotych. Do tego dochodzą tzw. „normy” (przeciętna „norma” — 10 przedstawień w miesiącu, a wszystkie ponadto — płatne ekstra), stuprocentowa dodatkowa „dniówka” przy wyjazdach terenowych, no i diety delegacyjne. Przy „chodliwej” sztuce młody aktor zarobi prawie drugą pensję. A przy tym teatr optaca mu pokój w hotelu lub kwatery prywatną. Wreszcie każdy absolwent szkoły teatralnej otrzymuje pewną kwotę na zagospodarowanie: od 4 do 6 tys. złotych.

Po ostatniej regulacji plac doszła jeszcze możliwość przyznawania przez dyrekcję teatru specjalnych wynagrodzeń przy rolach szczególnie trudnych, pierwszoplanowych. Tak więc aktor grający np. Hamleta, mimo stosunkowo niskiej jeszcze gaży miesięcznej — co wiąże się m. in. z wysługą lat — może otrzymać nawet najwyższą stawkę „normy”, tj. 700 zł za każde ponadplanowe przedstawienie. Aktor o dużym stażu i wysokiej pozycji artystycznej, często grający w „objeździe”, może zarobić nawet kilkanaście tysięcy złotych w miesiącu. Ale też praca aktora należy do prac najcięższych, także od strony fizycznej, i były czasy, kiedy wyliczano, ile to godzin pracy murarza czy górnika można porównać

tych ludzi owładniętych... przez młode wczesnych latach pięćdziesiątych... w środowisku teatralnym zaczął przeważać pogląd, że droga na scenę powinna prowadzić jedynie przez szkołę teatralną, która wtedy właśnie otrzymała status wyższej uczelni. W latach późniejszych stworzono nawet egzaminy magisterskie w szkołach teatralnych, a ich absolwenci otrzymują tytuł „magistra sztuki”. W ten sposób każdy, kto w 18 roku życia został przez komisję egzaminacyjną uznany za uzdolnionego artystycznie, mógł przez następną cztery lata studiować wiedząc, że opuści mury uczelni z patentem na artystę i że do końca życia będzie miał w polskich teatrach zapewniony kawałek chleba.

Przez kilka następnych lat nieliczne były wypadki przyjmowania do zespołów aktorskich tzw. „adeptów”, młodych utalentowanych ludzi, trafiających do teatru bądź to jako statysci, bądź też z ruchu amatorskiego, a z jakichś powodów nie mogących rozpocząć nauki w szkole teatralnej. Niektórzy zresztą uznawani byli przez komisję egzaminacyjną za nie dość zdolnych... W Lublinie jako adept startował kiedyś w „Poemacie pedagogicznym” Stanisław Mikulski i dopiero po kilku latach zrobił „eksternę”. Miał kłopoty w krakowskiej szkole teatralnej Andrzej Rozhin, który dzisiaj jest dyrektorem i kierownikiem artystycznym państwowego teatru w Gorzowie Wielkopolskim. Tak ceniony aktor jak Piotr Suchora po „odpadnięciu” na egzaminie do PWST ukończył polonistykę, a następnie, jako adept teatru lubelskiego, zdawał eksternistyczny egzamin aktorski. Z obecnym dyrektorem Teatru Osterwy, Zbigniewem Szejmanem, razem graliśmy na tutaj-szej scenie małe role w „Zielonym



Spójrzcie, młodzi, na to zdjęcie: może znajdziecie w nim znajome twarze, powód do refleksji nad przemijaniem czasu i historią lubelskiej sceny... Przypominamy tylko, że fotografia przedstawia ludzi, którzy 12 lat temu gościli w Brześciu na zaproszenie tamtejszego teatru. W grupie tej znajdują się aktorzy i nie aktorzy, więc może zdjęcie jest nie na miejscu? No dobrze, ale czy wszyscy nie jesteśmy po trosze aktorami?!

Tak, to najświętsza prawda; a z drugiej strony — rzeczywistość skrzeczy: dyrektor Zbigniew Szejman z Teatru im. Osterwy w Lublinie ma na głowie oprócz mówienia „prawdy wiecznej przykazania” plan przedstawień i wyjazdów w teren, plany repertuarowe i kasowe „do zrealizowania”, bo — słusznie czy niesłusznie — teatr, szczególnie teatr wojewódzki, jest niestety swojego rodzaju... zakładem produkcyjnym. Placówką kulturalną wprowadzie, artystyczną, ale jakże przy tym zinstytucjonalizowaną i zmerkantylizowaną! Czteryście przedstawień rocznie, przedstawienia w siedzibie i w dalekim najczęściej „objeździe”, a do tego wszystkiego 46 aktorek i aktorów, przy wciąż zaznaczającym się „deficycie” młodzieży aktorskiej. Z obsadą „młodych” ról są ciągle kłopoty i szukano

z dwiema godzinami spędzonymi przez aktora na scenie. Nie bez powodów lalkarze na przykład — ludzie pracujący wyjątkowo ciężko i w wyjątkowo trudnych, „terenowych” warunkach — osiągnęli wiek emerytalny po ukończeniu 55 roku przez mężczyzn, a 50 roku przez kobiety! Nie ma chyba poza aktorstwem zawodu, w którym wysiłkowi intelektualnemu towarzyszyła by równie wielka praca fizyczna, połączona z ogłomnym napięciem nerwowym i emocjonalnym.

Zamienię pięću magistrów na jednego aktora! — miał powiedzieć przy jakiejś okazji Kazimierz Dejmek, a zdanie to nie jest wcale jakimś obliczonym na efekt frazesem, ale w lapidarny a dosadny sposób wyrażonym poglądem w toczącej się od pewnego czasu dyskusji na temat dróg i sposo-

Gilu”, kiedy nie udało mu się pierwsze „podejście” do krakowskiej szkoły teatralnej... Wieloletnie zamykanie drzwi teatru przed adeptami ogłociło sceny — szczególnie sceny prowincjonalne — z ludźmi związanymi z miejscowym środowiskiem, pełnymi autentycznego zapału i nie zrażających się piętrzącymi się przed nimi trudnościami. Kto raz choćby statystował w teatrze, dobrze poznał smak goryczy bycia „aktorem — nieaktorem”. Dzisiaj, kiedy telewizja i film odciągają młodzież „dyplomowaną” od ośrodków prowinc-

Dokonczenie na str. 10

Kamena str. 3

NAJWAŻNIEJSZYM czynnikiem kształtującym konsumpcję są dochody, jakie osiągają poszczególne rodziny. Poza tym można wymienić również takie czynniki jak: liczebność rodzin, poziom cen artykułów konsumpcyjnych i produkcyjnych, zaopatrzenie rynku oraz szereg innych. Ponieważ jednak podstawową determinantą spożycia są dochody, głównie na tym elemencie skoncentrowana zostanie nasza uwaga.

Rozmiary dochodów rolniczych są m. in. funkcją wielkości gospodarstwa i dlatego wypada podkreślić, że rolnictwo indywidualne naszego województwa, zarówno w starym jak i nowym układzie terytorialnym, charakteryzuje się dużym rozdrobnieniem. Według Narodowego Spisu Powszechnego z 1970 r. gospodarstwa o powierzchni 0,5—5 ha stanowiły 53,3%, obecnie 65,9%, a więc rozdrobnienie jest jeszcze większe.

Fakt ten posiada olbrzymie znaczenie jeśli chodzi o możliwości produkcyjne i dochodowe gospodarstw, rzutując zarówno na poziom, jak i strukturę konsumpcji. Mały obszar gospodarstw powoduje, że rolnicy w wielu wypadkach nie są w stanie zapewnić rodzinie przeciętnego poziomu konsumpcji w oparciu o własną produkcję rolną i dlatego podejmują dodatkowo pracę zarobkową. Dla przykładu: w 1970 r. z ogółu ludności czynnej zawodowo w gospodarstwach 0,5—2 ha 40,6% pracowało stale poza gospodarstwem.

Ocenę poziomu i struktury spożycia w rodzinach wiejskich przeprowadziliśmy dla lat 1970—1974 w oparciu o dane Instytutu Ekonomiki Rolnej przy Ministerstwie Rolnictwa, który prowadzi systematyczne badania budżetów chłopskich w całym kraju. Trzeba zaznaczyć, że gospodarstwa prowadzące dla Instytutu ewidencję przychodów i rozchodów charakteryzują się wyższym poziomem intensywności gospodarowania w porównaniu z gospodarstwami przeciętnymi i osiągają o około 25% lepsze wyniki produkcyjne. Z tego powodu nie można otrzymać wyników przenoszących automatycznie na cały sektor indywidualny. Pomimo tego mankamentu, obserwacja zmian zachodzących w badanych budżetach pozwala na uzyskanie ogólnej orientacji o kierunku i sile zmian poziomu oraz struktury konsumpcji artykułów żywnościowych i niezwywnościowych w rodzinach wiejskich.

Podstawowe znaczenie w konsumpcji mają rozmiary dochodu ogólnego. Składają się na niego: produkcja czysta gospodarstwa rolnego, tj. różnica między wartością produkcji globalnej a poniesionymi na jej uzyskanie nakładami materiałowymi, oraz dochody spoza gospodarstwa, wśród których dominują dochody z pracy zarobkowej. W latach 1970/71—1973/74 przeciętny dochód ogólny w woj. lubelskim (w starych granicach) wzrósł z 53,7 tys. zł do 82,6 tys. zł w przeliczeniu na gospodarstwo — tj. o 53,9%, natomiast dynamika dochodów budżetów badanych przez IER w całym kraju była nieco niższa — 50,1%. Pozwoliło to na zmniejszenie rozpiętości w sytuacji materialnej między gospodarstwami naszego województwa a przeciętnymi gospodarstwami w kraju.

Na marginesie wypada zauważyć, że różnice między poszczególnymi województwami są olbrzymie. Lubelskie pod względem poziomu dochodów zajmowało czwarte miejsce od końca wśród dawniejszych siedemnastu województw. W 1973/74 r. najwyższe dochody w przeliczeniu na gospodarstwo osiągnęli rolnicy poznańscy — 138,8 tys. zł, zaś najniższe rolnicy woj. katowickiego — 76,3 tys. zł.

Różnice w poziomie dochodów powodują, że również poziom konsumpcji w rodzinach rolniczych na-

DOCHODY ROLNIKÓW

Maria Świętochowska

szego województwa — cały czas mowa o województwie w starych granicach — jest niższy niż spożycie w przeciętnym gospodarstwie kraju. Wartość konsumpcji wszystkich artykułów w badanym okresie wzrosła z 11,1 do 15,1 tys. zł w przeliczeniu na jedną osobę w naszym województwie, natomiast w skali kraju z 12,0 do 15,9 tys. zł.

Podstawowy udział w rozchodach na konsumpcję zajmuje żywność. Wraz ze wzrostem poziomu życiowego absolutne rozmiary wydatków na tę grupę artykułów rosną, przy malejącym ich udziale procentowym w wydatkach ogółem. Udział ten zmniejszył się w woj. lubelskim z 50,2% do 47,2%, w skali kraju z 50,3% do 46,5%. Absolutne rozmiary rozchodów na żywność wzrosły w lubelskim o 28%, natomiast w skali kraju o 23,3%. Tak więc wyższa dynamika wydatków na tę grupę artykułów w naszym województwie pozwoliła na złagodzenie istniejącej rozpiętości.

Żywność konsumowana w gospodarstwach chłopskich pochodzi z produkcji własnej i z zakupów rynkowych (łącznie z wymianą sąsiedzką). Zwiększenie się udziału żywności pochodzącej z zakupu, zwane procesem denaturalizacji, jest procesem ciągłym, chociaż dokonującym się bardzo wolno. W 1970/71 r. w lubelskim 31,9% żywności pochodziło z rynku (w kraju 29,4%), natomiast w 1973/74 r. — 31,7% (w kraju 33,1%). Praktycznie rzecz biorąc, postęp w zakresie denaturalizacji spożycia w naszym województwie nie miał miejsca, chociaż w skali kraju był znaczny. Sytuacja taka jest niekorzystna, gdyż uzależnia konsumpcję żywności od produkcji gospodarstwa, a ta, jak wiadomo, wykazuje wahania w poszczególnych latach i nie jest rozłożona równomiernie w ciągu roku. Powoduje to także wahania w spożyciu poszczególnych artykułów w kolejnych latach i różnych porach roku, co z punktu widzenia fizjologii żywienia jest wysoce negatywne, a także rodzi niespodzianki na rynku.

Drugim kierunkiem rozchodów na konsumpcję są wydatki na ubiór — ta grupa asortymentowa obejmuje odzież, bieliznę, obuwie itp. Na te artykuły rolnicy lubelscy wydawali prawie tyle samo, co przeciętne gospodarstwo w kraju — w 1973/74 r. 2,3 tys. zł w lubelskim i 2,5 tys. zł w kraju.

Z pozostałych kierunków rozchodów w budżetach chłopskich na szczególną uwagę zasługują wydatki na higienę i ochronę zdrowia, kulturę, oświatę, sport i wypoczynek (razem cztery ostatnie grupy będziemy określać wspólnym mianem „kultura”) oraz alkohol. Chodzi tu nie tyle o ich abso-

lutny poziom, co o wzajemne relacje. Wydatki na higienę i kulturę można traktować jako jeden z mierników społecznego rozwoju regionu. Okazuje się, że zwłaszcza jeśli chodzi o wydatki na bieliznę i ochronę zdrowia, istniejący stan zmusza do podjęcia w krótkim czasie szerokiego oddziaływania na wiejskie gospodarstwa domowe w lubelskim i innych regionach kraju. W przeliczeniu na jedną osobę w rodzinie, wydano w woj. lubelskim: na higienę i ochronę zdrowia 249 zł. W skali kraju — 306 złotych.

Ocenę poziomu konsumpcji w gospodarstwach domowych można przeprowadzić analizując spożycie podstawowych artykułów żywnościowych. Powszechnie znane są bowiem prawidłowości, jakie zachodzą w strukturze konsumowanej żywności w miarę podnoszenia się poziomu życiowego — rozmiary konsumpcji artykułów najtańszych maleją (np. ziemniaków), innych rosną (np. mięsa). Pamiętajmy przy tym należy, że konsumpcja żywności zależy nie tylko od poziomu dochodów, lecz również od ukształtowanych nawyków oraz tradycji żywieniowych i produkcyjnych gospodarstw chłopskich. Wpływ tych ostatnich elementów jest niejednokrotnie silniejszy niż wzrost dochodów. Z drugiej strony, ponieważ wiele konsumowanych produktów pochodzi niemal wyłącznie z produkcji gospodarstwa, na rozmiary ich spożycia w poszczególnych latach wpływają bardzo silnie zmiany plonów i zbiorów.

W analizowanym okresie konsumpcja artykułów pochodzenia roślinnego wykazywała spadek. Wyjątkiem było spożycie przetworów zbożowych (maki, pieczywa itp.), które utrzymywało się na stałym poziomie — 128 kg w przeliczeniu na osobę. Systematycznie maleje spożycie ziemniaków: z 182 kg do 154 kg, co należy uznać za przejaw pozytywnych zmian strukturalnych. Podobnie maleje spożycie warzyw — ze 104 do 99 kg, oraz owoców z 73 do 69 kg. W przeciwieństwie jednak do ziemniaków, ograniczenie konsumpcji ostatnich dwu grup artykułów nie może być uznane, z punktu widzenia poprawności procesów odżywiania, za zjawisko pozytywne. Zaznaczyć przy tym wypada, że proces ten miał miejsce nie tylko w naszym województwie, chociaż w poszczególnych regionach tempo spadku było odmienne.

Zmniejszaniu się konsumpcji produktów roślinnych towarzyszy systematyczny wzrost spożycia artykułów pochodzenia zwierzęcego. Najszybciej powiększyło się spożycie mleka pełnego — z 213 l do 280 l i jaj — z 288 sztuk do 359 sztuk. Wolniej rosło spożycie mięsa — z 37,4 do 41,8 kg oraz słoniny i smalcu — z 16,5 do 17,2 kg rocznie.

Na specjalną uwagę zasługuje spożycie ryb i ich przetworów. W 1970/71 r. konsumpcja ryb wynosiła u nas 1,4 kg w przeliczeniu na osobę, a w 1973/74 — 2,4 kg. Można jednak sądzić, że główną przyczyną tego wzrostu były nie zmiany poziomu dochodów, a lepsze zaopatrzenie rynku w tę grupę artykułów.

Porównanie ilości konsumowanych artykułów żywnościowych w kraju i w lubelskim pozwala stwierdzić, że rolnicy naszego województwa — a ściślej mówiąc naszych województw — osiągnęli poziom spożycia właściwy dla gospodarstw średnio zamożnych, a różne odchylenia wynikają z ukształtowanych zwyczajów żywieniowych i braków w zaopatrzeniu rynku. Można równocześnie twierdzić, że od 1974 r., z którego pochodziły ostatnie dane, do chwili obecnej sytuacja materialna rolników uległa dalszej poprawie.

Dokończenie ze str. 1

BUDOWNICTWO JEDNORODZINNE

100, na wsi 85 metrów kwadratowych. Ale wskutek tego i koszt każdego mieszkania jest znacznie wyższy niż w budownictwie uspołecznionym i w rezultacie jeżeli program zostanie wykonany, właściciele domków wydadzą łącznie 9 miliardów złotych — nie ma w województwie drugiego tak bogatego inwestora.

A jednocześnie — delikatnie mówiąc — tak skromnie obsługiwano. Cała tzw. czapka administracyjna w województwie obejmuje nie więcej niż 30 osób, z których część ma jeszcze inne sprawy na głowie. Zadane biuro projektów nie przyjmie zlecenia od indywidualnego klienta, chociażby przyszedł z zamówieniem na sto różnych lub jednakowych domków — pozostaje katalog wojewódzki projektów typowych, czasem terenowe zespoły usług projektowych, nazbyt często prywatne zlecenia. Nie ma żadnego przedsiębiorstwa wykonawczego — wszystkie budynki wznosi się systemem gospodarczym (tu i ówdzie pomagają zakłady pracy — np. FSC, WSK czy Kombinat Cementowy w Chełmie), który zresztą jest najtańszy. Przed kilku laty przemysł terenowy chciał zorganizować takie przedsiębiorstwo, aby ułatwić mu pracę uzgodniono nawet produkcję pewnych elementów prefabrykowanych, a także znacznie ograniczono tzw. narzuty, co

zmierzało do obniżenia kosztów. Jednak przedsiębiorstwo nie może działać na słowo honoru, musi mieć pewność, że otrzyma należne wynagrodzenie. Takiej gwarancji zaś nie mogli dać indywidualni klienci, musieliby bowiem mieć na koncie bankowym gotówkę na pełne pokrycie kosztów budowy. Zabrakło więc chętnych i projekt upadł.

Do niedawna jedną z największych trudności, hamującą dosyć skutecznie rozwój budownictwa jednorodzinne, było najpierw zdobycie działki, a potem załatwienie wszelkich formalności, związanych z uzyskaniem zatwierdzonej dokumentacji, kredytu bankowego, otrzymaniem zezwolenia na budowę itd. Nieraz trzeba było całymi miesiącami wydeptywać korytarze różnych urzędów i co tydzień naprzykrzać się innemu urzędnikowi, który w pojedynkę też niewiele mógł załatwić.

W ostatnich tygodniach nastąpiła tu zasadnicza zmiana. Zgodnie z odpowiednią uchwałą Rady Ministrów załatwienie tych wszystkich problemów jak i wystawienie potrzebnych papierków obciąża właściwą komórkę administracji terenowej. W ten sposób dawny petent przekształcił się w kontrahenta władzy, która jest obowiązana załatwić to wszystko w ciągu dwóch miesięcy i to po jednorazowej

bytności przyszłego inwestora. W Chełmie chcą to załatwiać nawet w ciągu półtora miesiąca.

(Na marginesie warto zapytać, czy wiele innych spraw nie można by rozwiązać podobnie, nie czekając na odpowiednią uchwałę Rady Ministrów? Sądzę, że nie jest to wcale pytanie retoryczne.)

Jeżeli chodzi o dokumentację techniczną w najlepszej sytuacji jest województwo lubelskie, które jeszcze z poprzedniego okresu posiada zestaw wojewódzki. Nowe województwa dopiero się takiego zestawu dorabiają — np. dla Zamościa robi je biuro projektów w Krakowie, przy czym dla terenów Rostocza domki mają mieć odrębny, podgórski charakter. Dobrze, jeżeli nie będą to naśladownictwa domków górskich, pasujących do Rostocza jak pięść do nosa. Myślę, że i piękny teren Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego zasługuje na kilka odrębnych projektów.

Rozwiązuje się także pomyślnie skomplikowaną dotychczas sprawą działek budowlanych. Zarządzeniem wojewody lubelskiego Wojewódzka Dyrekcja Rozbudowy Miast i Osiedli ma przygotować ponad 19 tys. działek, a więc pokaźny zapas także w przyszłą pięćdziesiątą (średnia wielkość: miasta — 400 m² wieś — 750 m², zabudowa zagrodowa na wsi — 2 tys.

m²). Podobnie jest w innych województwach, chociaż w samym Zamościu są z tym jeszcze poważne kłopoty, a np. w Hrubieszowie wolne działki od kilku lat daremnie czekają na chętnych. Dla odmiany w wojewódzkim Chełmie działki są, natomiast brak ich na wsi, co zresztą w ogóle łączy się z uporządkowaniem tytułów własności, wymianą gruntów i ogólnym wyznaczeniem terenów zabudowy — z czym od lat miejscowe władze jakoś nie mogą sobie poradzić.

Tu jednak warto zwrócić uwagę na problem tzw. działek zamrożonych. Niech jest — nikt nie wie, chociaż wiadomo, że niemało. Najczęściej są to działki o bardzo dobrej lokalizacji, uzbrojone we wszystkie techniczne instalacje. Niektóre od wielu lat stanowią własność pewnych rodzin lub osób, inne zostały przyznane przez dawne władze miejskie lub powiatowe. Aby te ostatnie zdobyć, trzeba było posiadać nieraz różne preferencje poza finansowe. Ale działka ma to do siebie, że powinna być zabudowana na to zaś potrzeba pieniędzy nie preferencji czy punktów. Od lat istnieje zarządzenie, iż niewykorzystana w ciągu dwóch lat od przyznania działka przechodzi do dyspozycji władz terenowych — ale zarządzenie było niezmiernie rzadko egzekwowane. Ostatnio wojewodowie przypomnieli je na-

Prawie wszystko o „Budce Suflera”

Mówi Romuald Lipko

— Niemal trzy lata nie schodzą z estrady. W styczniu ukaże się wasz drugi longplay, który miał też singlowe przedruki. Występujecie w kraju i za granicą, słyszymy was przez radio, oglądamy w telewizji. Otrzymujecie tysiące listów od sympatyków „Budki Suflera i Krzysztofa Cugowskiego”, niemal po każdym koncercie młodzież prosi was o kilka minut rozmowy. Osiągnięliście sukces. Ale czy nie odczuwacie już znużenia, czy koncerty nie są już dla was tylko ciężką robotą i kolejnym chwytym dla utrzymania się na rynku?

— Owszem, jesteśmy popularni, ale czy Pan nie zauważył, że w stosunku do innych podobnych zespołów występujemy niezbyt często? Specyfika polskiej estrady umożliwia jedną grupie i 60 koncertów w miesiącu, podczas gdy „Budka Suflera” daje ich rocznie około 200. Powiem krótko, że wynika to z naszej polityki. Nie interesują nas na przykład czterominutowki w telewizji, które absolutnie nie zezwalały na uławianie naszych możliwości, mało tego, mogą deformować opinie o grupie. Nie uprawiamy bowiem muzyki „lekkiej i przyjemnej”, ale trudniejszą, wymagającą dłuższej ekspozycji. Oczywiście, nadmierne zredukowanie liczby występów mogłoby fatalnie odbić się na naszej pozycji na rynku, a poza tym nie mielibyśmy nowych instrumentów.

— Jak to rozumieć?

— Po prostu każdy z nas musi zarobić na instrument, a warto wiedzieć, że znane firmy co pół roku wypuszczają na rynek nowe rodzaje na przykład gitar — o brzmieniu odmiennym od dotychczasowych. Jeśli zespół „brzmi po staremu”, szybko schodzi z estrady, żegnany gwiazdami publiczności. A takie instrumenty kosztują dziesiątki tysięcy i więcej złotych. Kupiłem niedawno gitarę basową EB 3 firmy „Gibson”, która kosztowała tyle, co mały flat. Jedni zbierają na samochody, my — na instrumenty.

— W lubelskim sklepie muzycznym przy Krakowskim Przedmieściu nie widziałem „Gibsonów”...

— I chyba nie zobaczy Pan długo. Tego rodzaju instrumenty przywożą do kraju polscy muzycy występujący za granicą.

— No dobrze, ale porozmawiajmy o tym ewentualnym znużeniu.

— Proszę Pana, ludzie nie zdają sobie sprawy, jakie napięcia przynosi sam fakt pracy w grupie pięciu osób, które stale są razem: w autokarze, przedziale kolejowym, hotelu, na estradzie. Więc prywatnie bywamy na pewno znużeni. Ale nie ma to nic wspólnego z naszą profesją, która zmusza do nieustannej koncentracji, bo taka jest natura uprawianej przez nas muzyki. Rock to nie „smutne szycie” sekcji rytmicznej, towarzyszącej jakiejś pani piosenkarce w świetnej kiece, ale nieustanna aktywność. Na koncertach gramy te same 7 — 12 tytułów, w sumie półtorej godziny, ale w każdym występie wszyscy musimy dać z siebie wszystko.

— Czy potraficie siebie samych zaskakiwać nowym rozwiązaniem, nowym podejściem do sprawy?

— Tak, właśnie tak. Każde trzy miesiące intensywnych ćwiczeń przynosi rezultaty. Po 100 godzinach treningu na gitarze czuję, że odkrywam nowe możliwości. Dotyczy to zresztą pozostałych kolegów, odstawanie choćby jednego z nich nie wchodzi w rachubę. Umówmy się: zespół to jest w końcu coś w rodzaju drużyny sportowej, która osiąga sukces tylko wówczas, kiedy wszyscy realizują generalne założenia. Powtórzę: każdy utwór w każdym koncercie gramy inaczej, spontanicznie.

— Więc niestająca przygoda? Wierzyć się nie chce...

— O przygodzie można mówić wówczas, kiedy nie wymaga się od nas zbyt wielu takich „doświadczeń”. Jak powiedziałem, unikamy tego, ale zdarza się przecież, że trzeba wystąpić „ponad normę”. No i wtedy, podczas tego 60-tego w

miesiącu koncertu, perkusistę co pięć minut łapie kurcz w obu nogach, a Krzysio Cugowski — aby przeżyć koncert — zwilża gardło antybiotykiem, co zresztą i tak nie chroni go przed guzami na strunach głosowych. To już przestaje być przygodą, a staje się ciężką orką... W każdej pracy ma się prawo do słabszych momentów i my też je mamy, ale nie istnieją takie sytuacje, w których zastosowalibyśmy taryfę ulgową wobec publiczności. Bez względu na to, czy stajemy przed 12 tys. słuchaczy, czy przed pięciu setkami małomiejsteczkowego audytorium Ci ludzie, którzy przyszli na nasz koncert, są naszymi przyjaciółmi i zasługują na szacunek.

— Czy istnieje jakaś wyraźna różnica w reagowaniu na muzykę widowni wielkiej i małej?

— Jakościowej różnicy nie ma, generalnie rzecz biorąc. Wiele razy zetknęliśmy się w małym mieście ze słuchaczami, którzy ze znajomością rzeczą przyjmowali naszą mu-

zykę, a potem na koncercie, całkiem głośno dyskutowali na jej temat, nieraz czyniąc tak trafne uwagi, że oczy stawały ze zdumienia! W halach takich, jak np. Łódzka, która mieści 13 tysięcy osób, zawsze znajdują się dwa tysiące rzucających do góry marynarki, gwizdających, tupiących. No i w porządku, bo takie reagowanie jest zwyczajnym przydatkiem do tego rodzaju muzyki, odkąd ona istnieje i dopóki istnieje będzie. Bywa przecież, że trzy tysiące ludzi siedzi jak makiem zasiał, kwitując brawami co ciekawsze zagrania. Owszem, zdarzają się nieporozumienia. Lokują nas na przykład w małej sali, której jedną trzecią powierzchnię zajmuje nasza aparatura o mocy 1000 watów. No i jak hukniemy... A o 100 watów mniej nie można, bo taka jest natura tych urządzeń. W rezultacie ludzie łapią się za głowy i krzyczą, żeśmy zwariowali. A tymczasem to nie my zwariowaliśmy, ale organizator, dla którego najważniejsza jest sprzedaż imprezy: hurtem, ryczałtem, radzie zakładowej czy „z kapelusza”. „Panowie, proszę grać, sala nie sala, to moja sprawa” — mówi taki jegomość. Nieprawda! Napięcie dźwięku, słyszalność to właśnie nasza sprawa i naprawdę nie chcemy, aby jakieś poważne pismo opublikowało list protestacyjny grupy słuchaczy, którzy skarżą się, że zabił ich dźwiękiem.

— Kto jest waszym patronem?

— Jesteśmy zespołem Agencji Koncertowej Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego. Ja Panu powiem krótko: Agencja to firma.

— Ale macie chyba jakieś kontakty z „Estradą”? Na ostatnich targach estradowych w Łodzi instytucja ta zapowiadała, że chce „Utrzymać ten drive”, czyli ruch w interesie, który podobno istnieje.

— Już powiedziałem: gramy muzykę agresywną, progresywną, po każdym koncercie jesteśmy wykończeni fizycznie i psychicznie, zatem nie możemy wtulić się w ramiona jakiegokolwiek krajowej „Estrady”, bo ta z miejsca obstawiliby nas planem 60 występów miesięcznie. Owszem, nasza Agencja „sprzedaje” zespół „Estradom”, ale pod warunkiem, że akceptują one harmonogram i trasę „Budki Suflera”.

— Mówi się od dawna, że muzycy waszego pokroju zarabiają bardzo dobrze. Przypominam tylko, niezego nie mam za pazuchą, uważam, że za ciężką i po trzebną ludziom robotę powinno się dobrze płacić.

— My otrzymujemy honoraria, których wysokość określa tzw. weryfikacja Ministerstwa Kultury i Sztuki. Ja mam 500 zł za koncert. Przy okazji dodam, że tacy muzycy jak ja i moi koledzy kształcą się w zasadzie sami. Żadna szkoła muzyczna w Polsce — średnia czy wyższa — nie przygotowuje do uprawiania tego rodzaju twórczości.

— Szkoły te umożliwiają przy najmniej opanowanie techniki gry na instrumentach!

— No tak, ale co dla mnie za użytek z pianisty, który świetnie gra Chopina?! Żaden. Jak ma zagrać „na luzie”, spokojnie i stylowo numer jazz — rockowy, to zdarza się, że bywa beznadziejny.

— Dziwnie. Przecież rodzaj uprawianej przez was muzyki cieszy się ogromną popularnością na całym świecie i śmiem twierdzić, że przestała już być tylko fascynacją młodszych pokoleń. To jest nowa muzyka, która jeszcze nie przestała być muzyką, a więc czymś, co posiada określoną strukturę i system wartości. Skąd zatem ta niechęć szkolnictwa do powiedzmy, jazz-rocka?!

— Nie chciałbym zajmować stanowiska w tej kwestii. Choćby dlatego, że mnie właśnie usunięto swego czasu z liceum muzycznego w Lublinie i egzamin dyplomowy, jako ekstern, musiałem zdawać w Radomiu.

— Może podgrywał Pan na instrumentacie głównym w czasie wesel wiejskich, a potem, po tej



Fot. L. Leo

profanacji narzędzia, wykonywał na nim np. koncerty Rachmaninowa?

— Nie, usunęto mnie za występ w telewizji, na weselach nie grywałem!

— A może, na dodatek, wyrażał się Pan z niechęcią o klasykach, których, jak wiadomo, należy cenić i szanować?

— Też nie. I dzisiaj chętnie słucham impresjonistów, Bacha czy Beethovena. Także wtedy, kiedy pracowałem jako instruktor zespołów amatorskich w domach kultury w Milejowie i Lublinie, zachęcałem młodzież do tradycji muzycznej, właśnie do klasyków, tłumacząc, że muzyka stanowi zamknięty krąg, który pozwala przecież na uzyskiwanie ciągle nowych wartości, nowych rozwiązań.

— No i co z tego wynikało?

— Nic, niestety nie... Idea amatorskiego ruchu muzycznego to dobra sprawa, ale w praktyce fatalnie wypaczona. Takie zespoły skupiają się na ogół przy domach kultury, których kierownikom zależy na ogół tylko na jednym: aby zespół jak najszybciej wystąpił na akademii ku czci i z okazji. W Milejowie trafiałem zresztą wyjątkowo szczęśliwie, kierownik przystał na moje warunki, więc mogłem zacząć z młodzieżą od nauki rzeczy podstawowych.

— „Budka Suflera i Krzysztof Cugowski” znana jest z tego, że niemal wyłącznie opiera się na utworach własnej kompozycji.

— Nasze płyty firmowane są nazwiskami dwóch kompozytorów: Krzysztofa Cugowskiego i Romualda Lipko. Rozumiemy się nawzajem, znamy własne możliwości, więc po co szukać utworów u kogoś z zewnątrz? Zresztą w Polsce tak mało jest ludzi komponujących w stylu, który nam odpowiada. Poza tym to, co zrobiliśmy, sprawdziło się.

— Koncertowaliście w Czechosłowacji, NRD, na Węgrzech, niedawno w Berlinie Zachodnim. Jak was przyjmowano?

— Różnie. Najlepiej w Czechosłowacji i NRD, ale dla Węgrów okazaliśmy się za monumentalni, chyba za trudni. Tam obowiązuje muzyka „na ostry pedał”, bardziej do tańca, niż do słuchania, a nasze utwory z reguły nie nadają się do dreptania. W Berlinie Zachodnim — no cóż, tam ciągle występują najlepsze zespoły i najświetniejsi soliści świata. Ale chyba nie „przegraliśmy”.

— Proszę wymienić aktualny skład grupy.

— Krzysztof Cugowski — wokół (26 lat), Tomasz Zeliszewski — perkusja (21 lat), Andrzej Ziolkowski — gitara (25 lat), Andrzej Szczodrowski — sax i instrumenty klawiszowe (31 lat), Romuald Lipko — gitara basowa, czasami klawiszowe, kierownik artystyczny grupy (26 lat).

— Osiągnęliście sukces i nie uciekacie z Lublina. Dziwnie.

— I nie zamierzamy uciekać. Niedawno Krzysztof i ja otrzymaliśmy mieszkania oraz pracownię, w lubelskiej rozgłośni radiowej czujemy się jak w domu. Tej zresztą instytucji zawdzięczamy chyba najwięcej. Przecież to Jerzy Janiszewski namówił nas na pierwsze nagrania, zachęcał do pracy, pozwolił uwierzyć we własne siły. Dużo też wdzięczności mamy dla redaktora Tłuczkiwicza.

— Ale w Lublinie nie występujecie!

— Nie nasza wina. Ale o naszym stosunku do miasta niech świadczy taki drobny fakt: niedawno zamówiłem na Węgrzech kalkomanie z napisem „Budka Suflera — Lublin”. 30 tysięcy nalepek pójdzie w świat. Ale nie mówmy na ten temat dalej, bo jedni pomyślą, że się podlizuję, drudzy zaś — że biadolę.

— Jeszcze jedno: co Pan sądzi o polskiej krytyce muzycznej, zajmującej się twórczością w waszym stylu?

— Dobrej jest bardzo mało. A szkoda, bo rzeczowa krytyka bardzo pomaga.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
Ireneusz J. Kamiński

W OSTATNIEJ dekadzie grudnia i pierwszej stycznia powszechne były debaty załóg — obradowały konferencje samorządu robotniczego. Przedstawiciele pracowników wielkich i mniejszych zakładów określali wysokość tegorocznego planu. Tak było również w Fabryce Maszyn Rolniczych w Lublinie i pozostałych jednostkach produkcyjnych Kombinatu „Agromet”, a więc w Chełmie oraz Rzućowie i Kunowie na Kielecczyźnie. Od 1977 roku Kunów się zresztą usamodzielnia, a więc dwa tysiące pracowników stanowiąc będzie o sobie odtąd oddzielnie. W Kombinacie „Agromet” pozostanie jednak ponad trzy tysiące ludzi i dla nich właśnie w ostatnich dniach grudnia Konferencja Samorządu Robotniczego ustaliła zadania na najbliższe dwa miesiące, rozliczając zarazem dyrekcję za rok ubiegły. Najbardziej zajmowała się jednak zakładem lu-

Sprawozdanie dyrekcji obfitowało w równie optymistyczne dane. Mimo że plan w stosunku do roku 1975 był wyższy, załoga zdolała go przekroczyć o 2,3 proc., a w dziedzinie eksportu o 26,5 procent. W dodatku tę dynamikę osiągnięto przy nieznacznie zmniejszonym zatrudnieniu. Ta sama prawidłowość przedłużona będzie także na rok obecny, bo zgodnie z uchwałą KSR zadania zostaną podniesione o 7,7 procenta w stosunku do roku 1976. Nie tylko bez zwiększenia zatrudnienia, ale i przy równoczesnej rozbudowie zakładu, co przecież utrudni pracę zarówno załodze, jak i budowniczym. Sposoby pogodzenia tych przeciwności dla dobra produkcji i rozbudowy szeroko omawiał mistrz Wiesław Tomaszewski. Jest to więc w sumie plan ambitny, dobrze korespondujący z zacytowanymi hasłami.

Z ust dyskutantów rzadko padało słowo: rolnictwo, a przecież prob-

kładów i lepszej organizacji — wzrosła o 2 proc., a ma się podnieść o dalsze 6 proc., przy równoczesnym polepszeniu jakości, bo produkcja za 110 milionów złotych ma być sygnowana znakiem jedyńki.

Spora część tej wysokojakościowej wytwórczości przyniesie cenne dewizy. I właśnie w tym punkcie wyrzuć się podobne zainteresowanie jak w momencie omawiania trudności mieszkaniowych załogi. Zjednoczenie pragnie wyraźnego zwiększenia eksportu, ale równocześnie recesja gospodarcza na Zachodzie sprawia, że zamówienia na produkcję lubelskiej Fabryki Maszyn Rolniczych, Zakładu Urządzeń Napędowych w Chełmie i Zakładu Produkcji Sieczkarni w Rzućowie obejmują do tej chwili niepełne 60 proc. ich możliwości. Uznano jednak zgodnie, że zapotrzebowanie może się pojawić także w ciągu roku, jak to już nieraz bywało. Inaczej jakże w przyszłości wykonywać zadania eksportowe, przyjęte n. VII Zjeździe partii? Produkcja sprzedawana na obcych rynkach ma się wciąż powiększać, dlatego też tak często powoływano się na postanowienia V Plenum KC w sprawie podnoszenia jakości, mającej dobrze służyć rynkowi wewnętrznemu i zagranicznemu. Szczególnie mocno do tej sprawy nawiązywał przedstawiciel miejskiej instancji partyjnej w Lublinie, sekretarz Czesław Gąszczyk, przypominając, że eksport musi w najbliższych trzech latach wzrosnąć o 40 procent. Wielkie to zadanie i do niego muszą przystąpić wszystkie zakłady i ich załogi.

Przy okazji odbywających się konferencji samorządu robotniczego warto się zastanowić nad ich istotą, która wynika z nazwy i regulaminów. Konferencje te pozwalają robotnikom współzdecydować o zakładach, posługiwać się tym narzędziem rzeczywistej demokracji socjalistycznej w przedsiębiorstwach. W lubelskiej Fabryce Maszyn Rolniczych nikt nikogo nie krępował, zachęcano serdecznie do wypowiedzi, a jednak mi czegoś zabrakło. Prawie wszyscy kierownicy działów odczuwali potrzebę popisaną się zgrabnymi, wcześniej już napisanymi referatami, dopełniającymi referat główny. Sprawili to, że na Konferencji używano twardego języka ekonomicznego i technicznego, co nieco onieśmielało robotników, powodowało niezamierzoną atmosferę oficjalności. A przecież w dyskusji powinno znaleźć się miejsce zarówno dla inżynierów i ekonomistów, jak i dla robotników i techników.

Np. interesująco zabrzmiał — niestety odosobniony — współgłos mistrza Tomaszewskiego, kierownika działu inwestycji Zenobiusza Kęskiewicz i sekretarza Gąszczyka na temat przebiegu inwestycji. Mimo, że Lubelskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego dobrze wykonuje swoje zadania, to dalsze planowe budowanie utrudnia mu nielogiczne rozłożenie terminów dostaw maszyn i urządzeń, co obciąża Zjednoczenie Przemysłu Maszyn Rolniczych w Warszawie, a także projektów, które już o pół roku opóźniła poznańska placówka podległa temu samemu Zjednoczeniu. Tymczasem w pierwszym półroczu roku 1978 plan przewiduje nie tylko zakończenie podstawowych hal przy ulicy Budowlanej, ale i uruchomienie w nich produkcji. Załoga realizować będzie odpowiednio zwiększone plany, część zadań roku bieżącego także wynika z efektów inwestycyjnych, co stawić może pod znakiem zapytania sam plan... Trzeba więc sięgnąć do takich posunięć organizacyjnych, aby mimo wszystko mógł on być wykonany. Gdyby takich konfrontacji zdań kierowników produkcji z głosami robotników było więcej w tej debacie, byłby to w pełni sejmik załogi. Rozdźwiękowi temu należałoby przy okazji przyszłych konferencji samorządu robotniczego szczęśliwie zapobiec, stworzyć pełniejsze warunki dla zabrania głosu przez samych robotników. A że potrafią oni z pożytkiem dla sprawy wnosić w tych dyskusjach myśli, które nurtują ich współtowarzyszy pracy, udowodnili na niejednym tego rodzaju spotkaniu.

SEJMIK ZAŁOGI

Tadeusz Jasiński

belskim, bo tu teraz cały ciężar zadań i odpowiedzialności będzie spoczywał.

Przez lata istnienia KSR-ów wykształcił się już ujednolicony tryb postępowania: referat dyrekcji, koreferat rady robotniczej, dyskusja i podjęcie końcowej uchwały. Tak więc dyrektor kombinatu, mgr inż. Modest Doliński, zdał sprawozdanie i przedstawił zadania roku 1977, a przewodniczący rady zakładowej, Stefan Fabian, w imieniu czynników społecznych, w niektórych punktach wyraźnie dopinguował kierownictwo do zwiększenia zadań w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego i społecznego, równocześnie żądając uściślenia dróg wiodących do podniesienia jakości produkcji i organizacji pracy oraz zwiększenia eksportu. Wynikało z tego, że organizacje społeczne popierają program dyrekcji i będą za nim głosować, ale pragną, aby uchwała pomieściła także ich dezyderaty. Podobnie brzmiała wypowiedź i sekretarza Komitetu Zakładowego PZPR, Jufiana Kapicy, który przewodniczył obradom.

Siedząc wśród uczestników obrad zastanawiałem się: będzie dyskusja burzliwa, można spodziewać się kontrwersji także ze strony tych, którzy w tym samym czasie pracują w halach rozległej fabryki? Jakie wniosły uwagi, czy sejmik ten stanie się, jak w większości przedsiębiorstw, naprawdę forum ujawniania poglądów robotników oraz personelu inżynieryjno-technicznego?

Hasła, które mogłem przeczytać na jednej ze ścian sali, nawiązywały do chlubnej stutrzydziestoletniej przeszłości zakładów: „Byliśmy kolebką ruchów rewolucyjnych na Lubelszczyźnie. Jesteśmy w czołówce zakładów zmieniających oblicze wsi. Będziemy przyspieszać realizację uchwał partii w zakresie techniki”. Z przebiegu obrad wynikało, że tę tradycję załoga wiąże ściśle z obecnymi zadaniami.

Już z wystąpienia robotnika Wydziału „W”, największego i najlepszego, który produkuje m. in. młocarnie, a więc z wypowiedzi Jerzego Porzaka wynikało, że jego koledzy wykonali zadania roczne o wiele wcześniej, a cała fabryka już dwudziestego trzeciego grudnia, co pozwoliło na dodatkową produkcję wartości dwudziestu sześciu milionów złotych,

lemy tej newralgicznej teraz dziedzinie gospodarki wciąż byli obecni na sali. Kryły się za takimi terminami, jak: nasi odbiorcy, sprawdzenie się urządzeń w praktyce, kraj woła o nasze maszyny, realizacja uchwał VII Zjazdu i plenarnych posiedzeń KC, jeżeli więcej wyeksportujemy — Zjednoczenie Przemysłu Maszyn Rolniczych będzie mogło sprowadzić interesujące licencje i wyroby z zagranicy...

Rynkowa produkcja lubelskiej fabryki wzrosła w minionym roku o 33 proc. i proces ten trwać będzie także obecnie. A więc Państwowe Gospodarstwo Rolne, spółdzielnie produkcyjne i kółka rolnicze oraz gospodarze indywidualni otrzymają więcej maszyn, które uczynią pracę lżejszą, często zastąpią dziesiątki rąk. Zespoły zniwone, młocarnie, opryskiwacze, bukowniki, prasy do słomy i siana, podbieracze, opryskiwacze, prasy wysokiego stopnia zgniotu będą służyć rozwiązywaniu problemów żywnościowych kraju. Nie tylko o produkcję rynkową tu chodzi, nie zawsze z lubelskiej FMR wychodzi produkt końcowy. Trzeba ponadto dostarczyć odpowiednią ilość części przednich do „Bizonów — Super” i „Gigant”, tysiące wałów przekątnikowych mocy. Finalny produkt da dopiero Płock, ale uczestniczy w jego wyniku Lublin i to właśnie. Zresztą i lubelska FMR potrzebuje kooperantów z innych części Polski. Na tym polega nowoczesny przemysł.

Niektórzy dyskutanci poruszali ważki problem ograniczenia importu części i elementów. Np. do pras sprowadzono dotąd ze strefy dolarowej podzespoły stanowiące 40 proc. ich wartości, teraz zmniejszy się ona do 23 proc., a dążyć się będzie do całkowitej eliminacji obcego materiału. Nie wystarczy tu jednak tylko dobra wola załogi, wiele zależeć będzie od wyników badań Zakładu Doświadczalnego oraz ośrodków podległych Zjednoczeniu, które szukają nowych rozwiązań. W miliardzie sześciuset osiemnastu milionach złotych ogólnej wartości produkcji kombinatu w roku 1977 mieścić się więc będzie prawie w całości krajowy materiał i własna praca załogi. Praca, której wydajność — na skutek modernizacji za-

Z tej i nie z tej ziemi

Jakub Anatema

ON JUŻ WSZYSTKO PRZEWIDZIAŁ

GDYBY nawet ktoś mnie o to pytał, nie odpowiem. Stało się dokładnie tak, jak on przewidział. A więc i tak nic z tego nie rozumiem. Lepiej nic nie mówić.

Mały śmieszny człowieczek w bereciku na opak zamasyżuje chował za pazuchę wypchany portfel. Ktoś coś mu tłumaczył, ktoś czegoś chciał, ale ten nic, tylko zaciął się w sobie i poszedł.

Szedł tam, gdzie stało niewiele. Coraz ich mniej było. Na dobrą sprawę było już późnawo. Słońce powoli chyliło się ku zachodowi. Wpatrywałem się w małego, śmiesznego człowieczka. Szedł coraz szybciej oglądając się za siebie zupełnie tak, jak gdyby w obawie przed wymagowaną pogonią.

Szedłem dość blisko za nim. Ten jednak odwracając się jakby nie zauważał mnie i patrzył gdzieś daleko wstecz. Po jakimś czasie i ja zacząłem się oglądać za siebie. Po drodze w jakiejś odległości szli ludzie, jeden za drugim, rzadkiem rozstrzelonym jak my dwaj. Co pewien czas każdy z nich oglądał się za siebie i szli nadal. Tak wszyscy naraż. Poczulem się jakoś wyraźniej. A więc to nie tylko ja.

Po jakimś czasie mały człowieczek zatrzymał się przed furtką niezłe trzymającego się jeszcze płotu i wszedł za ogrodzenie starannie zamykając za sobą ową furtkę. Stałem niezdecydowany. Mokre jeszcze paliki płotu odbijały ostatnie promienie słoneczne. Obejrzawszy się za siebie stwierdziłem, że wszyscy idący za mną stali w mniej więcej takich samych odległościach w jakich szli, lecz teraz udawali zainteresowanych czymś, co się akurat działo w miejscu ich zatrzymania.

Miałem już tego dość. Wpadłem za ogrodzenie i dalej do domu. Drzwi z trzaskiem uderzyły w pustą ścianę i z impetu zamknęły się na powrót.

Stałem w jednym olbrzymim pomieszczeniu, a w środku na podłodze znajdowała się drewniana trumna z małym człowieczkiem w środku. Za oknami słychać było szelest trawy deptanej przez tych, co usiłowali zajrzeć przez wysokie okna. Usłyszałem szepot:

— Niech pan się kładzie koło mnie, tu jest jeszcze trochę miejsca, on wszystko przewidział.

Szept pochodził z wnętrza trumny. Niewiele myśląc poszedłem za poradą, zwłaszcza że jakoś było mi coraz bardziej nieswojo. Gdy już leżeliśmy obaj, mały człowieczek naciągnął na nas ciężkie wieko.

Po jakimś czasie usłyszeliśmy dookoła kroki na posadzce. To oni przeszukiwali pomieszczenie. Delikatne kołysanie dało nam znać o tym, że ktoś wziął trumnę na ramiona.

— Pierwsza część planu sprawdza się akuratnie. — Mały człowieczek zacierał ręce z zadowo-

leniem. Jego chichotanie rozlegało się glucho pod wiekiem trumny.

— Ciszej, bo jeszcze ktoś z nich może nas usłyszeć — próbowałem przywołać go do porządku, choć wcale nie wiem dlaczego to oni nie mieli nas usłyszeć. Tak to się już chyba po prostu przyjęło siedzieć cicho, gdy dwóch jest w trumnie — rozważałem sensowność swojego postępowania.

— Zupełnie przyjemnie, co? — nie dawał mi spokoju tamten.

— Nic już z tego nie rozumiem, ja wcale nie mam ochoty z panem wędrować pod tym przeklętym wiekiem, wpadłem tylko na chwilę, ot tak sobie przyglądając się to temu, to owemu.

— Pan i tak nic nie jest winien, to tak właśnie miało być.

— Co miało być?

— No to! Wszystko. Pan za mną, oni za panem, pan do trumny, ja wieko na wierzch, oni nas obu na plecy i hajda.

— Gdzie hajda?

— Tego to ja teraz nie mogę panu powiedzieć, ale on to już tam na pewno dobrze obmyślił.

— Jest mi niewygodnie. Mógłby pan choć na



Rys. Jacek Urbas

SPADEK

Romuald Lenek

CHWYCILEM uchem: bełkotliwe podzwanianie sygnaturki oraz rozklekotane skrzywienie kół wиковego omnibusu na bruku nagle ustało. W ciszę wdarł się stukot kopyt koni gwałtownie hamujących, pisk kół, a potem na schodach rozległ się astmatyczny kaszel starego człowieka. W drzwiach stanął ponad stuletni starzec podparty metalową laseczką, w cylindrze i we fraku. Przekręciłem kontakt w pokoju; w snopie światła ujrzałem jakby z mgły lat wyłonioną znajomą twarz. Ależ tak, nie było wątpliwości.

— Pradziadek Kleofas! — krzyknąłem zdumiony i zaraz potem do mojej dziewczyny: — Lidia, ubieraj się, gość ze starego portretu rodzinnego!

Pradziadek przytulił mnie do wyschłej piersi, z której powiało naftaliną, zapachem stearyny i zbutwiałego drewna. Otarł łzę wzruszenia:

— Przyjechałem stamtąd w odwiedziny — powiedział. — Zobaczyc,

jak żyjesz, i przekazać ci spadek: trzy tysiące złotych reńskich.

— Doprawdy, pradziadek niewymownie hojny, ale nie mi po tym — zauważyłem. — Reńskie straciły wartość pół wieku temu. Cenię wszakże dobre chęci — i rzuciłem się do uścisków.

— Nie pleć głupstw — zirytował się pradziadek — i zgaś to świstwo! — wskazał łaską na lampę elektryczną. — Jak możesz tak cyganić. Zaraz poznać, że to nie poczciwa naftówka, tylko erzac na prąd. Złe się prowadzisz — odsunął mnie dłonią i zwrócił głowę w kierunku przyległego pokoju. — Trzymasz sobie nalożnice, którym każesz śpiewać. — Pradziadek wpadł do wnętrza, gdzie z radia dobiegała piosenka w wykonaniu Alisisters. Na widok grającego i śpiewającego pudła cofnął się przerażony.

— Zbyt silne wrażenia na mój wiek, chłopcze. Nic z tego nie pojmuję. Daj świecę i zamknij się dla świętego spokoju w drewniak — skierował się w miejsce, gdzie za pradawnych czasów był ganek zakończony wygódką.

— Co pradziadek czyni? — wzruszałem widząc, jak staruszek pcha się ku

otwartemu oknu, które wprawiono w ścianę po zamurowaniu wyjścia na niedyszejszy ganek.

Starzec opamiętał się i po pauzie zwrócił się z propozycją:

— Dam ci w spadku cztery kamienice czynszowe w śródmieściu, złoty interes, powiadam ci, tylko prowadź mnie do stajen, żebym mógł sobie wybrać powozik i konie.

Parsknąłem niegrzecznie śmiechem na propozycję darowizny kamienic.

— Pradziadek jak zwykle żartowniś, zgodnie z tradycją rodzinną. Zamiast stajen służę garażem kolegi za miastem, a tu, gdzie stały konie przy żłobach, pętają się obecnie koniki. Kino niedaleko i Peweks.

Widocznie pradziadek niczego nie zrozumiał, bo popatrzył na mnie, jakbym robił trudności.

— Całą walizę sztylpów, kamasy na przyszłą zimę i przodzików do fraka ci ofiaruję, tylko objaśnij mi, co to wszystko znaczy.

— Jak by to powiedzieć... — stropiłem się. Na szczęście wpadło mi do

głowy wyjście: — Może pradziadziowi trójniaczka, domowego, przetrawionego?

— Przynajmniej to się nie zmieniło od moich czasów. — Pradziadek Kleofas sięgnął drżącą ręką po kieliszek, kiedy pojawiła się w drzwiach Lidia, ledwie przyodziana w szlafroczek.

— Moja Ancymonidka! — zakrzuszył się starzec. — Jak babcię Kocham! To znaczy babci właściwie nigdy nie kochałem, tylko Ancymonidkę. Przecież wyjeżdżając stąd wiek temu bez mała, zostawiłem cię w tych progach, dziewczyno jako różo!

Nie sposób było wytłumaczyć starcowi omamienie i pomyłkę spowodowaną krótkowzrocznością i utratą pamięci. Porwał Lidkę za rękę i zwrócił się ku wyjściu. Próbowałem dziewczynę zatrzymać. Jak na złość od drzwi sąsiadów buchnął ochryply dyszkant jakiegoś neorokowego solisty zespołu piosenkarskiego nagranych na magnetofonie.

— Rany Julek! Przecież to pianie koga, trzeba wracać! — krzyknął pradziadek i szarpnął Lidę. Byłbym broń! dziewczynę do upadłego, gdyby nie obietnica przodka rzucona ze schodów:

— A na strychu pod lewą belką, trzy metry wspan od komina pod prawym dylem znajdziesz kufer pełny oryginalnych lamp naftowych. Przerobisz je na elektryczne czupiradła i będziesz szczęśliwy.

Przynaję — zachowałem się po świrsku. Pokusa była zbyt silna. Zatkalem uszy na krzyk Lidii i popędziłem na strych. Po spadku.

Po tej podstawowej konkluzji pragnę podzielić się jeszcze kilku wrażeniami sprawionymi przez rzeczy bezpośrednio widziane i przeżyte.

Pierwszego dnia zawieziono nas do ślicznej Jarmali, uzdrowiska położonego nad Zatoką Ryską w odległości 20 km od stolicy. Nawet jak na Bałtyk plaża jarmalska to fenomenalne „złote piaski”. Oczywiście nogi naszej gromadki „stapały” po nich przez parę godzin. Potem spożyliśmy obiad w eleganckiej „Jurdzie” (Potem spożyliśmy obiad w eleganckiej „Jurdzie”, restauracji kategorii super-S. Obiad, mało powiedzieć dobry — wykwinny. I co za obsługa!



Aleksander Gielman — Protokół pewnego zebrania. Valentins Skulme (Batareew, dyrektor kombinatu budowlanego)

Doprawdy zalatująca dżentelmenerią (uwaga: określenie aluzyjne!).

Obiad, obiad... Ale, członku Klubu Krytyki Teatralnej SDP, co wreszcie o teatrze? No tu z kolei na pewno nie było nienasyceń duchowego. Zobaczyliśmy w ciągu dwóch dni aż cztery spektakle. A żeby jednak nie przeladowywać relacji entuzjazmem, wyznam otwarcie (i wolę mieć to z głowy od razu), iż niezupełnie mi trafia do przekonania koncepcja spektaklu Czechowskiego „Iwanowa”, wyreżyserowanego przez Adolfa Sanire w eksperymentalnym Teatrze Młodzieży LSRR. Może jestem

specjalnie uczulona na eksperymenty z Czechowem, lecz Bogiem a prawdą zwłaszcza imieniny u Liebediewów wydały mi się mocno zwulgaryzowane. Takie dzikie plasy w dziewiętnastowiecznym dworze ziemiańskim? Babakina — niech będzie, to się wie — „kuczycha”, ale inni, choćby tenże Liebediew, spierający się niegdyś nocami o Hegla? Czechow był przecie subtelnym ironistą, którego satyra demaskując nie „biczowała” ludzi. Poza tym obrazu, do ponuracizmy i nieczystości niurwego ziemiańskiego dworu z wykonanym symbolem — małym okienkiem, albo i do opustoszonej przestrzeni scenicznej z importowaną od sąsiadów wiązką siana. Było to w sumie jedno z uproszczeń, które stosuje się częstokroć i na naszych scenach dla wyrażenia pustki życia. Przepraszam, że mówię szczerze, po sąsiedzku.

Lecz wiadomo, ryzyko musi być zawsze wliczone w koszty eksperymentu. W tymże Teatrze Młodzieży Lotewskiej SRR widzieliśmy nazajutrz uroczą inscenizację bajki poety — klasyka Rainisa „Zelta Zirsa” („Złoty koń”). Podobał mi się nowoczesny biały wystrój sceny („ośnieżone” płótnem szczyty górskie), pomysły prostokątne otwór w tle, skąd wylaniały się bajkowe cuda. W wytwarzaniu poetyckiego nastroju celowała m. in. scena bujania się kruka na linach, efektowny finał części I.

Akademycki Teatr Dramatyczny LSRR (Latvijas PSR Akademiskais Raiņa Dailes Teatris) pokazał nam nad podziw doskonale przedstawienie „Protokół pewnego zebrania” Aleksandra Gielmana, gdzie przy zastosowaniu kompletnej ascezy scenograficznej (wielki stół w sali Kameralnej, krzesła i tyle) uwydatniło się całkowicie mistrzostwo aktorskie obsady. Odkładam analizę sztuki do zapowiedzianej jej realizacji w Teatrze im. J. Osterwy. Zdobyła już ona wielkie powodzenie w warszawskim Teatrze na Woli. Wracając do Rygi, dość powiedzieć, że mimo tzw. bariery językowej, „temperamentna” gra zespołu trzymała moją uwagę w napięciu od początku do końca. Głosowałam bez wahania za wnioskiem Potapowa, który nie przyjął „lipnej” premii.

A wyjeżdżaliśmy przed północą do Tallinna pod wrażeniem symfonii barw oraz zawrotnego tempa widowiska folklorystycznego (temat: zachody miłosne), w którym bierze udział niemal cały 60-osobowy zespół Akademickiego Teatru Dramatycznego, rozśpiewany, roztańczony.

Nie obronię się przed kategorycznym imperatywem wewnętrznym, który nakazuje mi dodać na końcu, że nie zabrakło w Rydze i konferencji poświęconych blaskom i cieniom teatru „Lotwy tudzież wymianie informacji. Ale niesłychanie oryginalne spotkanie, no naprawdę arcymile zaskakujące, zorganizowano dla nas we wspomnianej wyżej sali kameralnej Teatru Akademickiego, gdzie upłynęło nam, tym razem bez protokołu, parę niezapomnianych godzin na przyjacielskiej gawędzie, pięknym śpiewie chóralnym gospodarzy i nawet na obejrzeniu sceny z „Domu kobiet” Nałkowskiej.

Wspaniała biesiada. „Oby już zawsze tak było!” — przypominał mi się wers jednej z pieśni Antona Rubinstejna.

Dominik Opolski

Myśli

Pukając się w czoło nie oczekuj zaproszenia!

Dyplomem szkoły życia jest nekrolog.

I cisza może wywołać echo: cisza nie jest milczeniem.

Zdarza się, że klient jest tylko dodatkiem krawieckim.

Milczał, ale wiedzieliśmy, że był to głos rozsądku.

Niejedna twarz w negatywie wygląda pozytywniej.

Dochodząc do głosu, musiał przejść mutację.

Ludziom z wadą wzroku pomaga w parzeniu nos.

Wymyślanie ma niewiele wspólnego z myśleniem.

Wejdz w siebie! Może zapelnisz pustkę?

W SPRAWIE SPUSCZNY POETYCKIEJ WŁODZIMIERZA SZYMANOWICZA

W związku z przygotowywaną przez niżej podpisanych książką wierszy WŁODZIMIERZA SZYMANOWICZA, zwracamy się z gorącym apelem do wszystkich posiadaczy utworów autora słynnego tekstu poetyckiego „ZAPROSCIE MNIE DO STOLU”, celem udostępnienia ich nam. Za interesowani jesteśmy nie tylko rękopisami poety (pragniemy zamieścić fascymille niektórych wierszy), ale także wierszami — maszynopisami dotąd nie drukowanymi.

Wydany w 1969 r. nakładem Zrzeszenia Studentów Polskich skromny tomik (jako SUPLEMENT do „ORIENTACJI”) zawierał zaledwie kilkanaście utworów i obrazów tego tragicznie i przedwcześnie zmarłego poety-malarza.

Książka ta jest dzisiaj całkowicie wyczerpana. Przygotowany zbiorek wierszy Włodzimierza Szymanowicza ukaże się jeszcze w bieżącym roku, dlatego prosimy o informacje i utwory poety do (najpóźniej) 30 lutego 1977 r.

Texty zobowiązujemy się natychmiast zwrócić po ich przepisaniu bądź skopiowaniu (rekonstrukcji). Zapewniamy także przesłanie książki osobom, które pomogą nam w zbieraniu możliwie pełnej spuścizny Poety (tomik ukaże się w nakładzie bibliofilskim, ok. 350 egzemplarzy).

Jerzy Leszin
Andrzej K. Waśkiewicz

Korzystając z okazji, zwracamy się z prośbą do Grup Poetyckich, organizacji społecznych, związków i osób prywatnych o nadesłanie nam wydawnictw i druków (także biuletynów, zeszytów powielanych — dodatków redagowanych przez młodych poetów i pisarzy), celem zarejestrowania ich w przygotowywanej kolejnej antologii „DEBIUTY POETYCKIE 76”.

Zależy nam na sporządzeniu możliwie pełnego rejestru tych wydawnictw — kroniki ruchu młodoliterackiego roku 1976. Prosimy także wydawnictwa o nadesłanie nam książek poetów-debiutantów, bowiem antologia zawierać będzie również wybór wierszy z debiutanckich książek — do 30 kwietnia 1977 r.

Nasze adresy:

Andrzej K. Waśkiewicz
ul. Żeromskiego 2
65-066 Zielona Góra

Jerzy Leszin
ul. Kartaginy 1 m 289
02-762 Warszawa

Anna Borkowska

przyjaciel

najlepszy sufit
gdy na plecach
biały odrażająco biały
spływa
przysłana do martwej gładkości
jak najczulszy kochanek
nie śmiem prosić o to
żywych ścian i okna
które zna mnie jak własne szkła

najlepszy sufit
rozbita w sobie
usypiam pewna
że nie zeskoczy powodowany litością
uciszyć przedseny płacz

Bogdan Michałowski

patiens

z dłońmi woranymi w glebę
z glebą oblepiającą oczy
drążysz swoją brudę
musi być prosta
od miedzy
do miedzy

nie wolno wyprostować grzbietu
pilnuję
pierwszy strażnik to moralność
niezmienna
jak krzyk otwierający oczy dziecka

drugi strażnik to śmierć
nieunikniona
strasząca niedokończonymi brudami

dalej jest prawda
rosnąca
jak drożdżowe ciasto

Jerzy Krzysztof Misiec



omijajcie miasta wymarłe
z wystawami porozwieszanych twarzy
o pustych oczodołach
zejdźcie z drogi prowadzącej was
do chodników wydeptanych
przez resztkę ciemności
w miastach wymarłych gdzie
pejzaż samotny

wstąpcie w deszcz ulicy
w kaluży błyszczą pierwsze słowo —
— gwiazda —
a może lampa uliczna po prostu
śmierć co przeżyła kobietę
pyta o kromkę chleba
nie słyszą
rozmawiają o snach i ludziach
których trzeba będzie wymyślić
każdy będzie miał swoją menażerię

omijajcie miasta wymarłe
z rzeźbami o ustach pełnych ołowiu
z zapachem czerwonych kopert
w których listy spłonęły przed świtem

do bólu zaciskam powieki
jakbym miał za chwilę uderzyć
mści się na mnie ulaskawienie pięści.

POCZTA LITERACKA

R. S. Warszawa. Jest to pisane lekko i swobodnie...

S. T. Tomaszów Lubelski. W którym momencie piszący wiersze zyskuje prawo do uprawiania tego zajęcia?

A. S. Rzeszów. A jednak często odnosi się wrażenie, że wiersz powstaje bez głębszych filozoficznych zamierzeń...

R. T. Biela Podlaska. Tak, ale do jakiego stopnia tekst może być starożytnością nie negującą w ten sposób współczesnych wymagań stylistycznych?

B. G. Lublin. Przez pewien czas zastanawiałem się, co mi przeszkadza przyjąć ten tekst bez zastrzeżeń...

P. L. Gdańsk. Właściwie tego nie można nazwać opowiadaniem. Jest to raczej wyznaczenie osobiste wyrażające przywiązanie do statku...

C. M. Lublin. Przyznam się, że wielu z użytych przez Pana metafor nie rozumiem. Są za bardzo osobiste, a chciało by się powiedzieć: dowolne, sztuczne...

G. H. Zamość. Czy jednak nie za dużo wymyślności graficznej? Kiedyś to było w zastosowaniu. Znałe są tzw. carmina figurata...

C. K. Kajetanówka, U. B. Józefów, M. Y. Z. Hrubieszów, Z. M. Leszczkowice, J. W. Krasnik, H. D. Gorzów Wielkopolski - nie skorzystamy.

15-puzzle grid with numbers 1-15 and empty cells.

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie...

- Wyrazy pomocnicze: 47. 32. 86. 71. 13 - ludowy przodek skrzywiec...

- 50. 75. 53. 140. 87 - sposób powitania. 127. 41. 112. 141. 76. 96 - podstawa bujaka...

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe. Rozwiązanie krzyżówki nr 26. Poniższe: porcelana, Sylwester, list, Angola...



„NARTY NA ROZTOCZU”

Czytając list p. Zablockiego w 25 numerze „Kamieny” z ub. roku stwierdzam, że nartami interesuje się on sporadycznie...

ośrodek narciarski z pełnym zapleczem socjalnym nie powstanie, ale prawdą jest, że już obecnie, właśnie w Szczebrzeszynie...

Rozwój narciarstwa w Szczebrzeszynie to przede wszystkim wspaniała praca społeczna grona licznych społeczników-zapaleńców...

wiele innych, o charakterze lokalnym. Skoro p. Zablocki ma ochotę pojeździć na łyżwach, zapraszamy na trzy lodowiska, które w Szczebrzeszynie lokalizuje się przy szkole podstawowej...

Z upoważnienia LKS „Roztocze” w Szczebrzeszynie Marian Zacharczuk Zamość

„ZA MAŁO PRASY”

W związku z notatką prasową pt. „Za mało prasy”, zamieszczoną w „Kamieniu” z dnia 12.12.76 r., na podstawie wyjaśnienia Oddziału Miejskiego informujemy...

RSW „Prasa-Książka-Ruch” Przedsiębiorstwo Upowszechniania Prasy i Książki w Lublinie zastępca dyrektora mgr Z. Frać

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Wańniewski.

Redaguje zespół: Maria Bechzyk-Rudnicka, Jerzy Dostatni, (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego)...